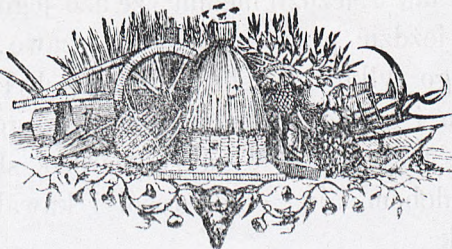




11. stycznia

1866.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Staszic,

sławny Polak, przyjaciel i dobrodziej ludu wiejskiego.

(Dokończenie.)

Dopowiemy wam tu jeszcze o tym sławnym Polaku Staszicu. Przechylny ten mąż mało dbał o siebie a myślał tylko o szczęściu ojczyzny i biedniejszych bliźnich. Miłość ojczyzny była u niego zawsze na pierwszym miejscu, a że to już podówczas nasza Polska była w opłakanym stanie, więc też było czem się frasować. To też Staszic przemyślał zawsze, jakby tu wydzwignąć kraj z upadku i bywało gdy się zjadą z panem naczelnikiem Kościuszką, to radzą obaj nad ratunkiem Polski.

Miłość jego dla bliźnich i biedniejszych była nadzwyczajna, tak dalece, że nawet dla tego za życia mieli go za dziwaka, bo jakże moi kochani, kiedy on taki pan i bogacz całą gębą, dla siebie był skąpcem okrutnym, a to wszystko dla tego, aby miał więcej dla biednych i aby po jego śmierci kilkadziesiąt rodzin ubogich włościan miało dobytek i swobodę.

I tak mieszkał sobie biedniutko w dwóch lichych stancyjach, a lat kilkanaście chodził w jednym wytartym ubraniu. Jak się ubierał, tak i jeździł biednie, że aże jego samego wstyd było i nie lubił jeździć przez miasto Warszawę, tylko tyłami objeżdżał. Jednego tylko miał służącego, ten był u niego i furmanem i lokajem i gospodarzem; a żona jego gotowała Staszcowi jeść, które to jadło było także bardzo skromne. Rano ciepłe piwo z chlebem, a na obiad rosół i kawałek chleba, oto cały jego posiłek.

A kiedy mu to jego dla siebie skąpstwo przyjaciele wyrzucali, to on mówił, że każdy grosz, co wydaje dla siebie, to go kradnie ubogim.

A lubił pocziwiec okrutnie chodzić na teatr, gdzie to takie ładne sztuki przedstawiają i gdzie muzyka gra przepięknie. Ale cóż, gdyby był poszedł tam w to miejsce, jakie przystało jego honorowi i osobie, toby był musiał co dzień kilka i kilkanaście złotych wydać; to cóż on nie robił? oto ubierał się jak najbiedniej i poszedł do teatru w najostatniejsze miejsce, co go i złotówki nie kosztowało i dopiero skrył się za ludzi i tak niepoznany stał w kąciuku. Co wszystko to czynił z tej wielkiej miłości dla biednych ludzi, dla których umierając, zostawił aż 6 milionów złotych polskich, to nie żart.

Bo też wiedział dobrze Staszcie, że każdy człowiek pracować powinien szczerze i oszczędzać, aby sobie i drugim w biedzie mógł zaradzić. Gniewał się Staszcie zawsze, jeżeli kto z lenistwa lub rozpusty tracił dobytek, bo trzymał się zawsze tego, aby każdy człek własną pracą dobijał się do li a nie spuszczał się na pieczone gołąbki. Toć też nawet swemu rodzonemu bratu nie dawał dużo pieniędzy lecz tylko tyle, aby miał o czem rozpocząć i pocziwie pracować, bo uważał tylko to za prawdziwą własność, czego się sam człowiek własnymi siłami dorobi. Brat ten Staszica był młynikiem ale nie miał własnego młyńca, jeno cudze wynajmował. Gdy się ten brat dowiedział, że Staszcie został wielkim panem i ministrem, przyszedł do niego do Warszawy. Staszcie powitał go z serdeczną miłością, zapłacił za niego dzierżawę młyńca na wieczne czasy i tak mu powiedział:

— Oto dalem ci sposób do szczęścia, jeżeli będziesz pilny, uczciwy i sam o swoje dobro staranny. W młynie, w którym dotąd byłeś sługą, będziesz teraz panem. Gdybym ci więcej udzielił, rozpróżniaczyłbyś się a może i rozpił. Teraz masz być zapewniony i od ciebie zależy, żeby ci na niczem nie brakło.

Miał też Staszic serce bardzo miłosierne i chętnie przebaczał ludziom, co mu coś złego wyrządzili. Kiedy już był najwyższym urzędnikiem, to jest ministrem, opadł go raz na drodze jakiś pijany urzędnik od rogatki i nie poznawszy zniewążył go na ulicy. Urzędnika tego zaraz zrzuceno z urzędu i skazano na więzienie, ale Staszica poruszyła litość i nie tylko, że go wyprosił i znowu mu chleb wyrobił, ale jeszcze zapłacił mu z własnej kieszeni tę pensję za kilka miesięcy, którą mu sąd był odebrał.

Ale osobliwym jego zamiarem i najusilniejszą jego chęcią było, aby jako pieniędzmi można było najwięcej wsi i gromad od pańszczyzny wykupić i aby ludzi, o ile można ze sobą porównać. Oto własne jego słowa, które w swych pismach zostawił:

„Przez lat 40 mych rozmyślań, zapytywałem się często sam siebie, jaki był zamiar Najwyższego Stwórcy, do czego przeznaczył człowieka i co najpewniej zabezpiecza szczęście ludzkie? I same słowa Boże, wryte palcem na kamieniu dały mi na to odpowiedzi, a ta jest:

Będziesz kochał Pana Boga twego z całej duszy twojej, a bliźniego twego, jako siebie samego.

„Jakoż nie znajduje człowiek nie przyjemniejszego dla serca swego, jak w dobrych uczynkach i nikt nie dopełnia wiernej woli Stwórcy swego, jak kiedy przez całe życia przyczynia się do szczęścia drugich.“

„Przekonany o tej prawdzie, postanowiłem całe życie moje na to poświęcić, abym los kilkudziesięciu rodzin polepszył i życie ich swobodniejszem uczynił. Dla tego przez całe życie byłem skąpy w wydatkach dla siebie, aby oszczędzić dla biednych.“

„Z tej oszczędności zakupiłem dobra Hrubieszów, gdzie rozdawszy na wieczne czasy grunta, uszczęśliwiłem kilkadziesiąt rodzin; a dziękuję stokrotnie Bogu, że ludzie doszli już do tego poznania, że to jest dobrem i że za moim przykładem i drudzy tak postąpią.“

Otóż to takimi świętymi uczuciami i taką miłością dla ludu prostego, było całe życie przejęte serce wielkiego człowieka, tego Staszica, a może to dusza jego świątobliwa, wyprosiła tam w niebie u Boga wszechmocnego, że się jego życzenia spełniły, że już dziś, gdzie tylko stopa jaka polskiej ziemi, ba i w całym świecie, nie ma już pańszczyzny i nie będzie jej jako życie, dla tego to widzicie, na początku naszego opowiadania słusznie nazwaliśmy Staszica największym przyjacielem i dobrodziejem ludu wiejskiego.

A wy kochani bracia wieśniacy uczujcie często pamięć tego wielkiego i wielką miłością przejętego człowieka. A tylko jeno w krótkości jeszcze opowiem wam o jego śmierci. Zapadł on nagle w styczniu 1826 roku, na chorobę zwaną apopleksją. Dniem przed tem choć już był słaby, ale jeszcze zupełnie przytomny i żegnając się ze swymi przyjaciółmi, rzekł:

Może się jeszcze z tej choroby wydźwignę, lecz gdybym umarł, zostawiam wszystko w porządku. I potem znowu mówił do jednego przyjaciela tak: „Pisałeś za włościanami, pisz i pilnuj dalej, aby im swobody zapewnić.“ Tak w ostatniej chwili życia swego o was tylko myślał ludu prosty, wieśniacy! Na drugi dzień potem już nie żył. Sam powiedział gdzie chce być pochowanym, t. j. na Bielanych obok kościołka tamtejszego. Pogrzeb jego był taki, jakiego nie pamiętała Warszawa. Całe duchowieństwo i wszelkich stanów ludzie, wszyscy domów swoich odeszli, tak że sklepy i urzędy pozamykali, lud ciągnął od Warszawy do samych Bielanych. Wiedzieli ludzie dobrze, że odprowadzają człowieka do grobu, który z taką miłością do kraju i dla ludzi nie prędko się zjawi na świecie, a który tyle dobrego zostawił po sobie.

Włościanie z powiatu hrubieszowskiego, którym on pańszczyznę darował i grunta wszystkie na wieczną własność zapisał, do dziś dnia zachowali w swem sercu pamięć swego do-

brodzieja, i nazywają go zawsze ojcem Staszicem. Co roku składają się wszystkie gromady tego powiatu na żałobne nabożeństwo w rocznicę jego śmierci i modlą się za „ojca Staszica“.

Panie świeć nad duszą jego i daj nam więcej takich wielkich ludzi, co mają taką miłość w sercu!

Ludka z Myślenic.

Krół i kowal.

W małym mieście kuźnia stała,
I chałupka przy niej mała,
A w niej kowal wśród czeladzi,
Jako majster rej prowadzi.

Równy z światem już miech huczy,
Stary kowal czeladź uczy,
Jak wygrzewać i hartować,
Jak nastalać i wykować.

Oj! kowalska ciężka praca
Ale za to i popłaca:
Boć to kowal do wszystkiego,
I do tego i owego.

Czy to przyjdzie pług nastalić,
Czy podkowę młotem zwalić,
Wykuć pancierz lub szablę,
Choćby nawet i rusznicę —

Dla kowala nie zagadka,
Wnet wywiąże jakby z płatka,
I każdemu w duch usłuży,
Doma, w wojnie lub w podróży.

Zawsze ogniem i żelazem,
Z młotem w ręku raz za razem,
Po kowadle w takt przygrywa,
I junacką piosnkę śpiewa.

A jak słońce zejdzie z nieba,
To kowalom spocząć trzeba,
Wtedy majster czeladź bierze,
Do swej chaty na wieczerzę.

Po wieczerzy; jak to starzy,
Stary kowal z młodzią gwarzy,
Czeladź słucha, lulki pali,
Dawne czasy majster chwali.

— Inak u nas dawniej było,
Co się żyło, to się żyło,
Dzisiaj wszystko na wspak idzie,
Nie dopatrzyć końca biedzie,

 Za podkowę talar bity,
 To zarobek wyśmienity,
 Bo też to za króla Sasa,
 Było złota aż do pasa.

Dobrze wam o wszystkim wiedzieć,
Więc wam muszę opowiedzieć,
Zajście króla i kowala,
Bo swój swego rad wychwala.

 Król polując w swych dąbrowach,
 Gdy chciał wracać już po łowach,
 W róg zatrafił raz i drugi,
 Na swe strzelce, na swe sługi

Ruszył z miejsca w czwał dwór cały,
Wielki przepych, okazały,
Boć przy królu i hetmany,
I rycerstwo, radne pany.

 Tak jechali kawał spory,
 Wiodąc z sobą rozhowory,
 Jak się komu poszczęściło,
 Co zwierzyny się ubiło.

W tem, gdy minał już dąbrowę,
Król się wstrzymał, bo podkowę
Rumak zgubił. Aż tu zdała,
Słychać głośny młot kowala.

 Więc do kuźni wnet przybędzie,
 I co rychlej z konia zsiędzie,
 Do kowala tak wyrzeczę:
 — Za podkowę talar człeczę!

Kowal węgla wnet dołoży,
Miecha zadmie, ognia sporzy,
I żelazo w mig rozpali,
Po gorącym młotem wali.

Przez „Ojcie nasz“ już podkowa,
Do podkucia jest gotowa:
W tem król chwyci w silne ramię
I podkowę w dwoje złamie.

— Ot! nie potem, kuj na nowo!
Kowal kuje kręci głową,
I ramienia nie żałuje;
Co wykuje to król psuje.

Kowal na kiel wziął u licha,
Młotem wali, modli z cicha,
I udało się tą razą:
Król był słabszy niż żelazo.

Więc talarka sam król poda:
— Taka rzeknie była zgoda.
Na to powie kowal stary,
Łamiąc talar: — Złe talary.

Co król poda, to on złamie.
Król pomyśli, silne ramię!
Chwat z waszeci, w głos wykrzyknie,
Konia zepnie, z oczów zniknie.

Tak król zwan podkwołomca *)
Bisurmanów on pogromca,
Co panował narodowi,
Nie dotrzymał kowalowi.

Więc czmychnąwszy w ciężkiej dobie,
Król pomyślał tak sam sobie:
— Jeden Bóg nas wszystkich stwarza,
Tak kowala jak mocarza.

Jak bywało, wiedzą nieba,
Lecz już północ, spocząć trzeba,
A jak jutra doczekamy,
To znów sobie pogadamy.

Józef Jakubowicz.

*) Król polski August II., Sas, znany był ze swej nadzwyczajnej siły.

Złe języki.

Brzydka to i nie chrześcijańska rzecz, moi mili, obmawiać kogo i czernić, a zły język rani jeszcze bardziej niż miecz najostrzejszy. Dobry i zacny człowiek, co ma sumienie i Boga w sercu, nigdy źle nie gada o swoim bliźnim, a choć się nawet przekona, że ktoś co złego zrobił, to go przed ludźmi nie czerni i nie obmawia, ale przeciwnie jeszcze ratuje, sławę cudzą, bo każdy pocciwy wie o tem, że każdy człowiek ma swoje wady a pismo święte mówi, że i sprawiedliwy codziennie siedm razy grzeszy.

Ale są znowu tacy ludzie bezbożni, co swemi złemi językami obgadują i spotwarzają wszystkich i plotą, co im ślina na język przyniesie. Tacy niedobrzy ludzie już z samego nąłogu oczerniają wszystkich, na nikim jak to mówią nie zostawią nawet suchej nitki i choćbyś był najlepszym i najzacniejszym, to nakłamią i nawymyślają na ciebie najrozmaitsze nie stworzone rzeczy.

Co to za ohydna jest wada, taki zły język, już wam o tem nawet szeroko prawić nie potrzebuje. Toć Zbawiciel nasz św. Chrystus Pan wziął nawet raz grzesznicę w obronę i kiedy na nią ludzie nastawali rzekł:

— Kto z was jest bez winy, niechaj pierwszy kamień na nią ciśnie!

Słowami temi dał nam naukę, żeśmy nawet grzesznych potępiać nie powinni, bo nikt nie jest bez winy. Cóż dopiero mówić o takich, co nawet na dobrych i sprawiedliwych ostrzają swe jadowite języki i czernią ich dobrą sławę? A kto drugiemu odbiera dobrą sławę, ten popełnia taki sam rozbój jak każdy prosty rabuś, co ludzi po drogach rozbija, bo dobra sława jest także majątkiem, a u niejednego biedaka to jedyne mienie i jedyna pociecha na świecie!

Opowiem wam tu historję o jednym takim złym człowieku, co wszystkich czernił i obmawiał aż w końcu był za to dobrze ukarany. Żył we wsi Świerczanach pewien wieśniak Tomasz Szczekuń. Był to gospodarz niczego, i nie był w gruncie du-

szy takim złym człowiekiem, nie oszukał i nie skrzywdził nikogo, nie upijał się i pracował pilnie koło swego gospodarstwa.

Ale miał za to Tomasz Szczekuń tę okrutnie brzydką wadę, że wymyślał i wygadywał na wszystkich, choć mu nikt nie był nic winien. Język Szczekunia był ostry jakby nóż jaki a jadowity jak gadzina i nikogo nigdy nie poszanował ale każdego hańbił i czernił po za oczy, że aż człeka strach zbierał słuchać te kłamstwa i potwarze.

Nie było w całej gromadzie człowieka, który by był bezpieczny przed złym językiem Szczekunia. Na każdego coś nakłamał, każdego obmówił, a jak Świerczany wieś duża i dużo ma gospodarzy, tak niepocziwy Szczekuń zrobił z każdego choćby najuczciwszego gazdy pijaka, ladacę, złodzieja i Bóg wie co, bo już taką miał wadę, że o nic nie pytał, jeno plótł, co mu ślina na język nadniosła.

I w końcu tak się przyzwyczaił Szczekuń do swego obrzydliwego nałogu, że choć o kim w gruncie duszy był przekonany, że jest dobrym i pocziwym człowiekiem, to przecież bezbożnym swym językiem wygadywał na niego, co tylko mógł wymyśleć.

Nie potrzebuję wam mówić, jak za to cała gromada nie lubiła Szczekunia. Wszyscy się nań gniewali i nie miał w całej wsi przyjaciela, bo jakże się z takim człowiekiem przyjaźnić i bratać, co cię krzywdzi bez ustanku swym złym językiem?... Bywało obraża Boga i zgorszenie wielkie we wsi, bo jeden i drugi dowiedziawszy się, że Szczekuń na niego wygaduje, chciał się pomścić i przychodziło nie raz do kłótni i do bójki, a zdarzało się czasem, że Szczekuń także areszty wycierał za swój zły język.

Ale tak to już u niego przeszło w nałóg niepoprawny, że choć go i łajano i wybito nie raz i do aresztu zamknięto, on zawsze swoje robił i ani po dobremu ani po złemu nie można go było oduczyć tej niecnoty.

A był we wsi Świerczanach dziedzie bardzo dobry, pan zacny i pocziwy, który całą gromadę kochał jak swoich braci a gromada znowu jego szanowała i lubiła, gdyby ojca. To też zawsze między dworem a gromadą zachodziły rozmaite sprawy,

czy kto chciał rady, czy jakiej nauki, czy pomocy i poratunku, szedł zaraz do dziedzica, a dziedzic co mógł to zrobił i nikt od niego nie odszedł z gołemi rękami. Otóż razu jednego i ów Tomasz Szczekuń, co to miał taki zły i bezbożny język, wybrał się był z prośbą do dworu. A była temu taka przyczyna.

Przyszedł jakoś twardy i ciężki rok na gromadę, a już najbardziej na Szczekunia. Na polu mu nie zrodziło, było padło na wymorek a grosza ani rusz było dostać. Do tego jeszcze takie nieszczęście przytrafiło się Szczekuniowi. Nie miał on budynków gospodarskich jak się patrzy i to mu zawsze ciężko domagało, bo to wiecie sami najlepiej, jak to nieskładnie i gorzko w gospodarstwie, jak nie ma potrzebnego budynku na dobytek i chudobę. Bez tego to wszystko nie na rękę i całe gospodarstwo nie nie warte. A znowu wiecie także, jak to się ciężko ściągnąć na postawienie choćby nędznego chlewu, boć to i budulec i majster i rozmaite inne koszta.

Kręcił się też i pocił okrutnie Szczekuń, aby się jakoś zdobyć na jakie takie budyneczki, ale długo mu to szło jak z kamienia. W końcu uzbierał tyle grosza, że sobie zakupił dużo pięknego materjału na budulec i poskładał pod chałupą, aby zaraz skoro przyjdzie wiosna, najać majstrów i wziąć się do roboty. Ale oto patrzcie jakie się stało nieszczęście. Wieś Świerczany leżała nad bystrą rzeką a domostwo Szczekunia było najbliżej brzegu. Otóż gdy miała być wiosna i śniegi nagle puściły, wylała rzeka okrutnie i połowę wsi prawie tak jakby zatopila.

Wiele szkody narobiła woda we wsi ale już najbardziej zniszczyła Szczekunia. Bo to jak powódź wylała, tak wyniosła mu het wszystek budulec z ciężką biedą zebrany i nie zostawiła ani jednej deski. Przepadło drzewo bez śladu i Bóg wie, gdzie je woda zniosła — a do tego wszystkiego popsula powódź do szczętu chatę Szczekunia. Ciężkie to było nieszczęście! Budulec przepadł, a tuż już nie tylko gospodarskie budynki trzeba było stawić koniecznie, ale i chatę samą prawie na nowo odbudować! A grosza nie ma nawet na pokaz, zboża

pod zasiew trzeba dokupić, przednowek ciężki — cóż tu robić w takim okrutnem utrapieniu?..

Cięzka była rada — więc też Szczekuń nie wiele myśląc wybrał się do dworu po ratunek.

Dziedzie przyjął po ludzku Szczekunia, wypytał go się o całe nieszczęście i żałował go bardzo. Wiedział jednak dziedzie dobrze, jaki to ma zły język Szczekuń i jak na wszystkich lubi wygadywać i każdemu dobrą sławę popsuć bez sumienia, więc też aby się o tem przekonać, zaczął z Szczekuniem rozmowę o wszystkich gospodarzach, z ciekawości, czy też on ciągle jeszcze ma ten bezbożny nałóg.

Pyta więc dziedzie Szczekunia o jednego gazdę, a Szczekuń, jak rozpuści swój brzydki język, tak go zaraz obmówił i obgadał jak ostatniego — pyta o drugiego, i na tym Szczekuń ani słówka dobrego nie zostawił — pyta o trzeciego, ba i z tego zrobił Szczekuń ostatniego draba — pyta jeszcze dalej, a Szczekuń swoje i swoje, tak że już na całą gromadę nawymyślał ten, niecnota najniesprawiedliwiej.

— Ale co też wy mówicie, Szczekuniu — rzecze dziedzie — toć nie może być, aby wszyscy byli tacy lotry i nieponie.

— O proszę wielmożnego pana — mówi na to Szczekuń — ja czystą prawdę mówię, to same draby, jakem wielmożnemu panu już wypowiedział.

A było we wsi dwóch bardzo poczciwych i zaenych gazdów. Byli to bardzo szanowani i starzy ludzie, co się nigdy ani na włoskę nie dopuścili złego w całym swym życiu a wszyscy nawet i najgorsi musieli szanować ich enotę i poczciwość. Obaj ci gospodarze zwali się Ignacy Motek i Paweł Zwór — a tacy już byli sprawiedliwi, bogobojni i zacni staruszkowie, że trzeba było, jak to mówią, mieć psi język, aby na nich choćby jedno niedobre słóweczko powiedzieć.

Myśli sobie tedy pan:

— Na wszystkich nagadał i nawymyślał Szczekuń, ale o tych pewnie nic złego nie będzie śmiało powiedzieć. Zapytam go teraz o Motku i Zworze, może choć tych nie będzie ruszał swym złym językiem.

I jak pomyślał tak też zrobił. Pyta się Szczekunia :

— Proszę was moi Szczekuniu, już to tam wszystko tak być może, jak wy mówicie, ale Ignacy Motek i Paweł Zwór, to są pewnie bardzo poczciwi i zacni ludzie!

— Oho! Niechno wielmożny pan tylko wierzy — rozpuścił zaraz swój bezbożny język Szczekuń — toć to oni obaj ani odrobinki nie lepsi jak drudzy. Ho! ho! to także ładne ptaszki, już ja ich znam, co to za ludzie!

Rozgniewało to pana bardzo, bo sam szanował obu starszków jak ojców i był o nich przekonany, że są najzacniejsi w świecie ludzie — i chciał już z razu złać dobrze Szczekunia i wyrzucić go za jego gadanie za drzwi, ale ukrył swój gniew naumyślnie i mówi jeno dalej:

— Ale miejcież sumienie, toć przecież Motek i Zwór to bardzo zacni gospodarze.

— Łotry wielmożny panie i koniec — rzecze na to Szczekuń.

— Najzamożniejsi w całej gromadzie — mówi dziedzic dalej.

— Owa! — odpowiada Szczekuń — cały ich majątek tylko z krzywdy ludzkiej i z oszustwa a i oni pójda wnet z torbami!

— Co wy też gadacie, toż u nich dobytek pański!

— Ej nie tak to tam, jak się zdaje — odpowie Szczekuń — rozpadnie się to tam w mig, będzie wielmożny pan widział, że to jeszcze nie zadługo obaj pod kościołem żebrać będą! Już ja wiem co mówię!

— Ale Motek i Zwór oszczędni i pracowici ludzie...

— Gdzie tam! to nieponie i leniwey panie, jakich szukać — mówi Szczekuń.

— Wspomagają ubogich — prawi dalej dziedzic.

— Alboż to prawda, wielmożny panie, oni by jeszcze żebrakowi wydarli, tacy cheiwi.

— Modlą się i żyją przykładnie.

— To obłuda tylko — odpowiada Szczekuń.

— Nie piją... — prawi dziedzic

— Chyba wtedy kiedy spią — wyrwie się Szczekuń — boć oni pokryjomu złopią wódkę jak wodę.

— To może powiecie w końcu, że i kradną? — mówi dziedzic i aż mu się w środku gotuje na te bezbożne kłamstwa Szczekunia.

— Oj, jabym za to i złamanego grosza nie dał -- odpowie Szczekuń — rozmaicie tam o nich mówią i ja tam wiem nie jedno, już jabym za nich pewno nie ręczył...

Markotno się bardzo zrobiło dziedzicowi i zamyślał się nad tem, jakby to niepocziwego Szczekunia oduczyć tej bezbożnej obmowy — aż nareszcie pyta Szczekunia, czy ma do niego jaki interes.

Szczekuń skłonił się do nóg panu, rozpowiedział mu swoją biedę i prosił, aby go zapomógł drzewem na budulec. Pan wysłuchał mowy Szczekunia łaskawie i tak mu odpowiedział:

— Chętnie was poratuję w waszem nieszczęściu i nie tylko że wam dam zaraz cedułę na drzewo do lasu, ale nawet od was za to niczego żądać nie będę. Jednakowoż tylko wtedy to zrobię, jeżeli mi tu przyprowadzicie dwóch gospodarzy ze wsi, pocziwych, trzeźwych i zacnych, i żeby ci gospodarze za was zaręczyli, że zasługujecie na poratunek.

Szczekuń podziękował panu i wybiegł uradowany na wieś i począł myśleć nad tem, jakich by tu dwóch gospodarzy porządnych wziąć z sobą do dworu. Wstępuje więc zaraz po drodze do jednego i prosi go, aby przemówił za nim u pana. Ale gospodarz ten tak mu odpowiada:

— Jak to, ja mam za was ręczyć, a za co? Czyż to nie gadaliście na mnie wszędy, że'm pijak i oszust ostatni? Idźciesz sobie teraz szukać kogo innego, a mnie dajcie pokój!

Poskrobał się Szczekuń w głowę i idzie do drugiego a ten mu znowu mówi:

— Co wy też odemnie chcecie Szczekuniu! A toć przecież nazwaliście mnie złodziejem i rozgadaliście we wsi, że'm gdzieś na jarmarku buty ukradł. Ruszaj sobie na cztery wiatry!

Szczekuń idzie do trzeciego, do czwartego, do piątego — ale wszędzie mu to samo wymawiają a gdzieniegdzie i za próg

wytrąca i tak całą już prawie wieś schodził, a żaden gospodarz nie chce z nim iść do dziedzica!

Okrutnie się zmartwił Szczekuń i po raz pierwszy w życiu począł żałować z serca, że nie powstrzymywał swego bezbożnego języka, jeno wygadywał niestworzone rzeczy na ludzi.

— Miły Boże! — rzekł sam do siebie — gdybym był szanował dobrą sławę drugich ludzi, byliby mnie poratowali teraz w biedzie i byłbym od pana dostał za darmo budulec! A teraz cóż ja pocznę nieszczęśliwy!

Szczekuń już wszystkich gospodarzy był prosił, ale nikt go wysłuchać nie chciał. Jeszcze u dwóch tylko nie był, u Pawła Zwora i Ignacego Motka, co to jak wiecie byli najstarsi wiekiem i najzaśniejsi gospodarze, a na których on we dworze tak wygadywał. Idzie więc do nich Szczekuń a po drodze lamentuje i narzeka. Gdy przyszedł do Piotra Motka, zapytał go tenże, czego potrzebuje. Szczekuń opowiedział mu wszystko, a wśród gadania aż łzy mu zaświeciły od frasunku w oczach. Staruszek wysłuchał z uwagą Szczekunia i tak mu powiedział:

— Bogiem a prawdą, to i nie powinienbym dać za was porękę we dworze, boście na to nie zasłużyli. Toż to nie dawno na mnie nagadaliście się różnych brzydkich rzeczy. Ale ja już stary i pamiętam na naukę Chrystusową, aby odpuszczać winy z szczerego serca. Może się też i poprawicie, to chyba i pójdę z wami do dworu!

Szczekuń aż podskoczył z radości, uściskał kolana sędziwemu Motkowi i mówi:

— Bóg wam zapłać, moiściewy Ignacy, ale to potrzeba jeszcze drugiego, coby także za mnie poręczył.

— No to chodźmy do sąsiada, do Pawła Zwora — mówi Motek — to może i on pójdzie z nami!

Zebrał się Motek, wziął Szczekunia z sobą i poszli obaj do Zwora. Zwór wysłuchał wszystkiego i mówi:

— Gadaleś na mnie rozmaicie, czerniłeś na wszystkie boki, ale ja ci powiem po szczeremu: psie głosy nie idą pod niebiosy! I nie chcę ci tego pamiętać, przebaczam ci i pójdę z tobą do pana!

Szczekuń począł okrutnie przepraszać i w duszy żałował serdecznie, że na takich zacnych staruszków wygadywał, a gdy szedł z Motkiem i Zworem do dziedzica, przysiągł sobie po drodze, że już swój język poprawi raz na zawsze.

Gdy przyszli do dziedzica mówi Szczekuń:

— Oto proszę wielmożnego pana przyprowadziłem z sobą wedle rozkazu dwóch gospodarzy, Motka i Zwora, co dadzą za mnie poręczenie.

Dziedzic zaś mówi na to:

— Nie z tego nie będzie Tomasz, boście nie spełnili tego, czegom żądał od was, abyście przyprowadzili z sobą dwóch porządnych i zacnych gospodarzy.

— No dyć są — mówi Szczekuń.

— Ja także miałem zawsze Zwora i Motka za najzacniejszych gazdów we wsi, — mówi pan — ale wy sami Szczekuniu przed chwilą powiedzieliście, że to nie prawda.

Tomasz zeczerwieniał cały ze wstydu jak burak i spuścił oczy na dół.

— Nie powiedzieliście może — rzecze pan — że obaj ci staruszkowie, Zwór i Motek są ludzie obłudni?

Tomasz mało się nie zapadł w ziemię.

— Nie powiedzieliście może — ciągnął dalej pan — że są pijacy i pójdą niezadługo na żebry?

Tomasz milczał i patrzył w podłogę.

— Nie powiedzieliście, że kto wie nawet, czy nie są złodzieje? Co nie Tomasz?

Tomasz ani słowa nie odpowiedział, jeno stał ciągle bez ruchu, jakby z kamienia.

— Jakże wy chcecie — mówi pan dalej — aby ja zważał na poręczenie pijaków, złodzieji i obłudników? Nic z waszej prośby nie będzie a wy sami wynoście się ze dworu, bo nie chcę z wami dłużej gadać. Szczekuń wysunął się za drzwi z wielkim wstydem i zgryzotą — a wtedy pan opowiedział wszystko Zworowi i Motkowi, co na nich wygadywał Szczekuń.

I tak Tomasz sam siebie pogrzebił swym złym i bezbożnym językiem. Ciężka to była dla niego nauka, ale dobra, bo od tego czasu już o nikim źle nie gadał i nikogo nie czernił

przed ludźmi. Że zaś potem przeproszał wszystkich serdecznie i że obaj poczciwi staruszkowie Zwór i Motek prosili za nim u dziedzica, więc też dziedzic poratował potem budulcem Szczekunia. Ale od tego czasu, to już Szczekuni całkiem inny człowiek, tak mu pomogła nauka dziedzica.

Strzeżcie się ludzie przed taką brzydką wadą, jaką miał Szczekun, a kto ma taki zły język jak on, niechże się co rychło poprawi, bo prędzej czy później na złe mu to wyjdzie!

Wojtek ze Smolnicy.

R Ó Ż N O Ś C I.

Sądy niehumanitarne. Donoszą tu do rozmaitych gazet, jako w niektórych wsiach wieśniacy razem z wójtem chwytają takich ludzi, o których myśla, że są złodziejami, i sami ich sądzą i okrutnie karzą. W niektórych miejscach tak niemiłosiernie męczą tych winowajców, że jeden z nich aż ducha oddał. Taka historia zdarzyła się w Nisku, gdzie się tak nad pochwytanymi złodziejami pastwiono, że aż człowiekowi na same opowiadanie stają włosy na głowie od zgrozy. Niehumanitarne to rzecz i nie chrześcijańska i na wielką karę zasługuje. Bo to najpierw nie godzi się pastwić niemiłosiernie nad nikim, choćby i nad złodziejem, bo już on za to od sądu surową karę odbierze. A po drugie, dzieje się tak w niektórych miejscach, że często zamiast złodzieja, chwytają niewinnego i pót

go biją i dręczą, dopóki się nie przyzna, toć nie dziw, że choćby taki człowiek był najniewinniejszy, to pod kijami i okrutną męką przyzna się nawet do tego, czego nie zrobił. Bardzo to dobrze mieć baczność na złodziejów i chwycić łotrów, ale pastwić się nad nimi niemiłosiernie, to się nie godzi, bo jak go odstawisz do sądu, to już go tam zasłużona kara nie ujdzie. A tak gdy kogo bez przekonania i dowodów niemiłosiernie zbijają i skatują, to ciężka za to odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi, że niewinnego pokrzywdzono — zaś znowu, choć jest i winny, to nie każdemu wolno karę wymierzać, bo na to ustanowione są sądy i urzędy. A już na każdy sposób, niemiłosierności i niesprawiedliwości wystrzegać się trzeba!